W Zaleński

№ 44.

Warszawa dnia 21 Października / 2 Listopada — R. 1867



NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1

Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

O ROZMAITYM SPOSOBIE

POJMOWANIA PIĘKNOŚCI, O DZIWACZNOŚCI MÓD NIEKTÓRYCH I O TEM ZKĄD INNE POWSTAŁY.

(Dokończenie).

Karol VIII zamienił krótki ubiór, na długi powłóczysty, bo miał niekształtne nogi. Franciszek I raniony w głowę w Pawii obciął włosy i brodę, a od téj chwili znikły wszystkie brody we Francji i Anglii. Henryk VIII naśladując sąsiada, spowodował wielkie zgorszenie między starymi Bretończykami. Okazywali oni tak wielkie nieukontentowanie z golenia brody, iż Henryk zniecierpliwiony rzekł dnia pewnego: „że więcéj im chodzi o brodę jak o głowę." Żart ten zawierał w sobie prawdę dość jasną w ustach tego króla.

Król Ludwik Wielki mając guzy na głowie uznał koniecznem, by jego dworzanie nosili za przykładem jego, spadające na ramiona ogromne i kosztowne peruki.

Piękna któraś dama ze dworu Edwarda IV w Anglii wymyśliła muszki, by ukryć małą brodawkę szpecącą jedno z jéj białych ramion. Rogówki może także nie ujrzałyby dnia, gdyby pewna infantka hiszpańska nie miała jedno biodro wyższe od drugiego. Przez lat 50 najmłodsze i najpiękniejsze panie w Europie zmuszone były ukrywać kolor swych włosów pod gęstą warstwą mąki, gdyż książe Richelieu pragnąc ukryć siwe włosy, wymyślił brzydką i niewygodną modę pudrowania się.

Czasem fantazje tego rodzaju sprowadzały historyczne klęski całych narodów. I tak: Ludwik VII przezwany młodym, gdy obciął włosy i brodę skutkiem jakiejś skórnéj choroby, tak się stał niemiłym swéj żonie Eleonorze, że rozstawszy się z Ludwikiem VII odebrała Poiton i Guienne, które stanowiły część jéj wdowiéj wyprawy i wyszedłszy za księcia d'Anjou (Henr. III) przyłączyła późniéj te kraje do Anglii. Ten kaprys księżniczki lubiącéj piękne brody, sprowadził Francji trzy-wiekową wojnę i kosztowało ją do trzech milionów ludzi. Nigdy jeszcze tak mała przyczyna nie ściągnęła tak strasznych skutków.

Jedna tylko piękna moda wynikła z potrzeby ukrywania wady i dla tego zasługuje na szczególną wzmiankę. Tą jest noszenie chustki do nosa oszytéj koronkami, którą wymyśliła cesarzowa Józefina. Józefina miała brzydkie zęby, dziś im się człowiek więcéj starzeje tem ma piękniejsze zęby. Dawniéj tak niebywało, sztuka Rogerów i Żattelów była jeszcze w dzieciństwie. By ukryć tę wadę cesarzowa nosiła zawsze w ręku chusteczkę batystową obszytą koronkami. Mówiąc, nieustannie podnosiła ją do ust co czyniło obecnym przyjemny efekt obłoku wonnéj koronki, owiewającéj ją ciągle. Posunęła ona wprawdzie zbyt daleko ten zbytek w chustkach, ale była to pierwsza kobieta, posiadająca chustki, kosztujące do tysiąca kilka set franków.

Nareszcie ustał despotyzm w modzie. Zmianę dowolną w ubiorze trzymają mocno miliony rączek. Od dziecinnego kaftanika do rękawiczek błękitnych. Błękitne rękawiczki!! Co za pomysł? Wszyscy je przecież niegdyś nosili, to nawet pamiątka jednego z najbrzydszych kaprysów mody przed rewolucją francuzką. Była nawet chwila że wszystko noszono *à la Girafe*, potem widziano panowanie materji w wielkie czarne i czerwone pasy. Potem z kolei były błękitne: błękit Haïti, błękit koryntski, błękit dymu londyńskiego, kolor potworno-zielony, fijołków leśnych, kolor pary, błękit szwedzki etc. etc. Czy to biała lub śniada, brunetka lub blondynka, szczupła czy otyła, nic to nie stanowiło, musiała nosić modny kolor. Dziś zupełnie co innego, żyjemy w pełnéj swobodzie i kobiety stały się odpowiedzialne jeśli nie do twarzy są ubrane. Należy więc uważnie zastanowić się nad kształtem i kolorami, które się no-

szą i kwestja ta jest dość ważna, gdyż idzie o okazanie że się posiada przymiot najwłaściwszy kobiecie — gust dobry.

Czucie i gust są to kwiaty cywilizacji. Wykradają się one często od księżniczki, by dać się pochwycić pierwszéj lepszéj dziewczynce. Miejcie panie sukienkę płócienkową lecz gustowną, a możecie z politowaniem patrzeć na suknie aksamitne.

Pani Staël, kobieta ogromnie brzydka, strojąc się w pióra, brzydsza jeszcze była. Pani Recamiez ładna, zawiązywała na głowie czterdziesto-groszową chusteczkę i cudnie w niéj wyglądała.

Poczucie piękna jest to jakby nauka gustu właściwego w każdéj rzeczy. Czucie to więcéj znaczy niż wdzięki, ono je wszystkie wykazać umie, tak wdzięki rozumu jak powierzchowności. Poczucie piękna nabywa się, gust się wyrabia. Wypływają one z jednego źródła, jest to chęć podobania się dobrze zrozumiana.

Ale my mówimy o toalecie.

Zakończam, pozwalając sobie kilka rad ogólnych rościągających się do wszystkich sfer i czasów.

Kolory jasne: blado-błękitny, słomiany, różowy, blado-zielony, przystoją płciom śniadym z żywym rumieńcem. Tryumfem ich kolor biały. Przeciwnie zaś kolory: czarny, czerwony i w ogóle kolory ciemne właściwsze są blondynkom, szczególniéj bladym.

To co powiedziałem o kolorach, może się stosować i do tkanin. I tak: lekkie materje właściwsze otylszym osobom, ciężkie zaś kobietom szczupłym. Zawsze i wszędzie sprzeczności! Trwać upornie w swem uprzedzeniu jest to oddalać się od ogólnéj harmonji. W przedmiocie toalety, można powiedzieć, że przeciwieństwa najczęściéj górę biorą.

Witold Chłopicki.

KORESPONDENCJA.

Boulogne nad morzem.

Dotrzymując zobowiązania mego, zabieram się do korrespondencji z Boulogne. Jeśli mam wyznać prawdę, niechętnie biorę pióro, gdyż lękam się okazać niesprawiedliwą dla miejsca, które skutkiem różnych okoliczności przedstawiło się oczom mojem w sposób najniekorzystniejszy.

Zachwalono nam bardzo kąpiele Bulońskie, i te niewczesne pochwały skłoniły nas do obrania tego miejsca na całomiesięczny nasz pobyt. Jakoż kiedy wysiadłszy z wagonu rzuciłam okiem przed siebie, miłego doznałam wrażenia na widok miasta piętrzącego się na górze, uwieńczonego kopułą kościoła Panny Marji. Po lewéj ręce w porcie panował niesłychany ruch, setki łodzi rybackich i statków rozmaitéj wielkości, spoczywało u brzega, wznosząc do góry maszty ozdobione flagami. Po drugiéj stronie sterczały wysokie kominy przędzalni i innych zakładów fabrycznych, świadczące wymownie o przemyśle tutejszych mieszkańców. W oddaleniu słońce odbijało złotą barwą w gładkiéj powierzchni oceanu.

Uradowana tym widokiem, wsiadłam z towarzyszkami do powozu, zabrałam rzeczy i wskazując ręką morze, kazałam co żywo zawieść się w tym kierunku.

— Panie mają pewnie zamówione mieszkanie? zapytał dorożkarz.

— Bynajmniéj, odrzekłam, ale przecież nie brak w Boulogne hotelów i domów do najęcia?

— Nie brak ci ich co prawda, odrzekł ruszając ramionami, tylko że wszystkie zajęte przez Anglików.

— Jakto! więc nieznajdziemy nigdzie ani kącika, zawołałam przerażona.

— Znajdzie się może jakiś pokoik, ale że nie nad morzem za to mogę pani zaręczyć. Dziś oto z rana objechałem z jednem państwem całe miasto, a że się nigdzie pomieścić nie mogli, odwiozłem ich na powrót na kolej, zkąd ruszyli do Saint-Valery.

Spojrzałam z trwogą na towarzyszki moje, gotowe iść za przykładem tych nieznajomych, ale słońce było już nad zachodem, do Saint-Valery potrzeba jechać parę godzin, zresztą kto nam zaręczy że i tam pomyślniejsza spotka nas dola? Kazałam więc jeździć od jednego domu do drugiego, aż na ostatek po trzech godzinach szukania, gdy się już dobrze ściemniło, wysiadłyśmy przed hotelem niemieckim. Po kilkunastu ciemnych i ciasnych izdebkach, które nam w różnych domach pokazywano, zdało nam się że jesteśmy w jakiemś uroczem *Eldorado,* kiedy gospodarz wprowadził nas do obszernego pokoju z trzema oknami wychodzącemi na ulicę, kiedy nam jął obiecywać złote góry, i wreszcie jakby na dowód że obietnice jego nie płonne, gdy nam przyniósł do pokoju smaczny obiad złożony z kilku potraw. Wprawdzie przykrą nam była wielka odległość od morza, ale gospodarz pocieszał wymownie dowodząc, że co kilka minut omnibus przechodzi ulicą poblizką od hotelu.

Nazajutrz ledwie żeśmy zdążyły odwiedzić zakład kąpielny, i główny kościół na górze, kiedy poczęły nawiedzać nas nowego rodzaju utrapienia. Nie wiedziałyśmy wcale o tem, że w Boulogne panuje epidemia choleryny, równająca się gwałtownością swoją prawdziwéj cholerze, z tą różnicą że nie było wypadków śmiertelności. Otóż wszystkie trzy uległyśmy chorobie z wielkiem utrapieniem naszem, gdyż zwłoka w rozpoczęciu kąpieli pociągała za sobą potrzebę dłuższego pobytu w Boulogne. Ale że tak się dzieje na świecie, iż niedola jednych bywa często dla drugich pociechą, otóż i nasza choroba przyszła na rękę gospodarzowi, który za siedm franków dziennie od osoby trzymał nas na pensji. Pierwszy tydzień był dla niego bardzo świetny; wszystkie trzy bowiem, byłyśmy na ścisłéj diecie, a że pomyślność zaślepia często ludzi, tak się też stało i z chciwym gospodarzem naszym. W drugim tygodniu pobytu naszego spostrzegł, że półmiski, które dotąd schodziły nietknięte ze stołu, poczęły się coraz bardziéj wypróżniać. Użył więc bardzo dowcipnego fortelu i tak nas żywił, że mimo wpływów ruchu i morskiéj kąpieli, niepodobna było wziąść do ust żadnéj potrawy. Skończyło się wreszcie na tem, żeśmy pożegna-

ły gospodarza, opłaciwszy drogo uczyniony mu zawód, i najęły inne mieszkanie, prawda że ciasne i ciemne ale w którem zyskałyśmy przynajmniéj tę pewność, że nie pomrzemy z głodu.

Tu spadły na nas nowego rodzaju utrapienia, a to z powodu kłótliwéj właścicielki hotelu. Jest to wprawdzie zawołana gospodyni, zna dokładnie sztukę kucharską, trzyma w ryzie męża, dzieci i domowników. ale obok tych zalet tak zrzędna i krzykliwa, że aż szyby trzęsą się w oknach ilekroć głos podniesie. Gdyby się to trafiało raz lub dwa razy na dzień, możnaby wreszcie do tego i przywyknąć, ale nasza gosposia zrzędzi i łaje, od czwartéj godziny z rana do pierwszéj po północy.

Z rana napędza do książki trzech chłopców, potem łaje biedną sługę która z podpuchłemi od łez oczyma, przynosi nam codzień śniadanie. Następnie kłóci się z biednym chorowitym mężem, wyrzuca mu że darmozjad, że sama pracować musi za niego i za siebie. Słowem kłóci się ze wszystkiemi, znać że sama nie ma w sobie pokoju, radaby też zakłócić pokój drugim.

Ale dosyć już o kłopotach osobistych, powiedzmy teraz słówko o mieście Boulogne. Zacznijmy od zakładu kąpieli, który żywotniéj nas obchodził niż pamiątki po sławnym Godfrydzie z Buljonu. Zakład to w rzeczy saméj bardzo piękny, najpiękniejszy podobno ze wszystkich jakie znajdują się na brzegach Oceanu. Z tych co poznałam dawniéj, jak w Dieppe i Ostendzie, wyznać muszę że gmach przeznaczony na kasino w Boulogne nierównie wspanialszy od tamtejszych. Kąpiele urządzone tak samo jak w Ostendzie, to jest wjeżdza się w morze krytymi powózkami na dwóch kołach, w kształcie małych drewnianych domków. Jest oprócz tego osobny rezerwoar z morskiéj wody, a w nim szkoła pływania. Tu można się kąpać w każdéj porze, mimo najsilniejszéj zawieruchy kiedy zwyczajna kąpiel staje się niepodobną. W tym samym gmachu gdzie kasyno, urządzone są kąpiele z ciepłéj wody morskiéj, oraz kąpiele elektryczne. Przed gmachem ładny ogródek pełen kwiatów zajmuje obszerny kwadrat, a sadzawka w pośrodku obłożona marmurem, po któréj pływają łabędzie. W blizkości ztąd nad brzegiem morza, sterczą dwie strome skały dziwnego kształtu, tworzące niby gotycką bramę, przystęp do nich łatwy po mostku, w głębi tych skał urządzono akwarjum. Widziałam już nie jedno akwarjum, tak w lasku Bulońskim, jak na wystawie, i na bulwarach, nigdzie jednak ryby morskie, omary i skorupiaki nie wydały się tak krzepkie, tak pełne życia. I nic w tem dziwnego, tam wegetują sztucznie, tu żyją w właściwym sobie żywiole, nie domyślając się nawet że krata oddziela ich od reszty morza. Tu dopiero przypatrzyłam się potwornéj Piewrze, którą Wiktor Hugo odkrył niezbyt dawno przed światem. Zdarzyło się nawet, że byłam świadkiem, jednego z tych strasznych dramatów, jakich tysiące, ukrywa codzień Ocean w łonie swoim. Jedna ogromna piewra, objęła drugą długiemi nogami, opatrzonemi w tysiące smoczków, i dopóty trzymała ją w śmiertelnym uścisku, aż ją całą pożarła. Okropny to był obraz.

Zaabonowałyśmy się na parę tygodni do *Kasino*, bilety które nam dano w zamian za czterdzieści franków, dawały nam prawo do chodzenia na codzienne koncerta, wieczory, baliki dziecinne i bale do czytania różnych gazet francuzkich i angielskich, do siedzenia po całych dniach na obszernéj galerji; wychodzącéj na morze. Z tych wszystkich przyjemności dwie ostatnie miały dla nas najwięcéj uroku. Nie znając wcale miejscowego towarzystwa, złożonego prawie wyłącznie z Anglików, nie brałyśmy żadnego udziału w tutejszych zabawach, przez ciekawość jednak poglądałyśmy z galerji na tańcujące dzieci i starsze pary. W tańcach dziecinnych panowała jeszcze jaka taka swoboda właściwa temu szczęśliwemu wiekowi, starsi za to tańczyli kadryla sztywno i poważnie, prawdziwie po angielsku. Przykro mi było patrzeć na te postrojone panny i panie, tak zimne, poważne, tak pozbawione życia, zupełnie jak lalki albo mumje. I to się zowie u nich zabawą! pomyślałam — i dla tychto dwóch godzin nudy, każda z tych kobiet przepędza codzień parę godzin przed zwierciadłem. na trefieniu spiętrzonych fryzur i innych zachodach nieodłącznych od stroju damskiego.“ Z przyjemnością też uciekałam od téj duszącéj atmosfery, gdzie wszystko tak sztuczne i kłamliwe, zacząwszy od warkoczy i loków damskich, od krasy lic i uśmiechu na ustach, aż do woni *świeżo pokoszonego siana*, pachnidła za którem przepadają angielki. Wychodziłam zatem na galerję otwartą na morze, i tam oddychałam pełną piersią rzeźwiącem tchnieniem oceanu, ogarniając okiem ciemny widnokrąg zasiany cały gwiazdami.

Piękny to w rzeczy saméj obraz. Księżyc wybiegał co chwila z po za chmury rzucając smug światła na lekko poruszone fale. Po lewéj ręce sterczała latarnia morska nad przystanią, a we mgle oddalenia, drżącem i słabem światełkiem odpowiadała jéj latarnia Luwru, przyświecająca z drugiéj strony cieśniny. Dziwna rzecz! pomyślałam — tak maleńka przestrzeń, rozdziela od siebie dwa narody, że światło zapalone na jednym brzegu, dobiega do oka przeciwległych mieszkańców, a przecież, jakże te narody niepodobne do siebie, jak różne cywilizacją i obyczajem.

Kasino tutejsze otwarte jest bez przerwy tak latem jak i zimą, wiele bowiem rodzin angielskich stale przebywa w tem mieście: ztąd też Boulogne bardziéj ma postać angielską niż francuzką. Szyldy po sklepach, i ogłoszenia o domach do najęcia pisane powszechnie w dwóch językach, a częstokroć wyłącznie po angielsku. Jakoż na 40,000 ogólnéj ludności liczą w Boulogne dziesiątą część stale zamieszkałych anglików, oprócz rodzin przebywających tu czasowo, tak w ciągu lata jak i w zimie. Z temi ostatniemi. według zapewnienia tutejszych mieszkańców ludność angielska dochodzi do 15,000.

Różne są powody owéj emigracji angielskich rodzin na tę stronę cieśniny: naprzód nadzwyczajna drożyzna w Londynie, potem dziwnie surowe wymagania etykiety, krępujące angielskie społeczeństwo. Żadna młoda osoba nie może tam brać udziału w zabawach arystokracji, jeśli nie była przedstawioną królowéj; żadna kobieta dobrze wychowana, nie może

wieczorem ukazać się na ulicy inaczéj jak w karecie. Ztąd też rodziny mniéj zamożne wolą prowadzić w Boulogne życie swobodniejsze i chętnie opuszczają rodzinne swoje gniazdo.

Opinia powszechna w Londynie powstaje wszakże na tych dobrowolnych wygnańców i złośliwe miota na nich potwarze. Utrzymują naprzykład, że każdy zbankrutowany anglik, nie mając czem zapłacić długów, ucieka do Boulogne, że żona która opuści dom i męża, szuka w Boulogne swobodnego przytułku. Ztąd towarzystwo zimowe w Boulogne, złéj używa reputacji w kraju własnym. My jednak nie zupełnie dowierzamy tym pogłoskom i połowę tylko przyznajemy im prawdy, oceniając słuszne przyczyny wyganiające anglików z ich domowego ogniska.

(d. c. n.)

POGADANKA TYGODNIOWA.

Znajomiec weredyk, z którym niedawno miałem utarczkę pogadankową, znowu mi wypłatał figla. Kiedy bowiem rozpoczynając dzisiejszą pogadankę napisałem te słowa:

W Suwałkach, wedle odebranych wieści, stał się cud nad cudami, który choć prawdziwy, prawie niepodobnym jest do uwierzenia. Młody bowiem jeden człowiek, nazwiskiem Aleksander Blechman, ukończywszy szkoły gimnazjalne, poświęcił się nauce szewstwa i został majstrem fabrykującym męzkie obuwie, nieustępujące nawet Warszawskiemu w zgrabności i doborze materjałów. Drugi zaś młodzieniec, syn b. urzędnika, chodzi do gimnazjum, ale wakacje przepędza w warsztacie p. Blechmana, naprawia, łata, sztukuje i zarobek ztąd otrzymany składa do skarbonki na pierwsze wydatki przy zapisie do Szkoły Głównéj. Brat jego już trzecie wakacje przepędza u introligatora i na ten sam cel ma zebraną sporą kwotkę, a najmłodszy jako mały nie pracuje jeszcze nigdzie, ale oświadczył stanowczo, że jak tylko podrośnie, pójdzie do szewca damskiego i matce swéj i siostrom zrobi prześliczne trzewiczki. Czy wieści takie na cud niezakrawają?

Czyż u nas....

Przy tych słowach przerwałem, usłyszawszy tuż za sobą westchnienie. Obejrzałem się... uprzykrzony weredyk stał przy mnie i uśmiechał się szydersko, złośliwie, potrząsając głową ze zdziwieniem.

— Ah! ty niepoprawiony dziwaku, kaznodziejo mówił swoim kwaśno octowym głosikiem: Czyś ty manjak, nieumiejący o niczem myślić, mówić i pisać, tylko o téj nieszczęśliwéj pracy, zesłanéj na ludzi w gniewie Bożym, a szanowanéj jedynie z musu jako złe konieczne?

— Mylisz się — przerwałem — bo nie gniew, ale mądrość i miłość Boża stworzyła pracę, bez której zdaje mi się, że w raju byłoby nudno i nieznośnie. Szczęście jakie przynosi, jest tak wielkie, że pomiędzy mękami przeznaczonemi dla dusz potępionych, jestem pewny, iż znajduje się tortura bezczynności, niemniéj okropną jak smażenie w smole albo rozciąganie na madejowem łożu.

— Oj! ty poeto, sielankarzu —kiwając głową odezwał się znowu weredyk —zawsze bujasz w jakichś ideałach, wymarzonych teorjach i urządzając świat według poetycznych natchnień, dziwisz się, że cię nie słucha i idzie torem jakim szedł od najdawniejszych wieków. Zejdźno kochanku choć raz na ziemię, a przekonasz się że te chmury zasłaniające tajemnicze wyżyny, śliczne, pierzaste, pełne poezyi i natchnienia, na ziemi zmieniają się w błotne kałuże: że te szepty i szmery podnoszące się w górę od świata, wystawiane przez podobnych tobie fanatyków jako hymn tęsknoty i uwielbienia, są po prostu chórem głosów domagających się jak niegdyś lud rzymski, prozaicznego chleba i jeszcze prozaiczniejszéj rozrywki. Pocóż więc zwodzić siebie, nudzić drugich, a mnie gniewać najszczerszego twego przyjaciela, bo mówiącego ci prawdę bez obsłonek i omówień niepotrzebnych?

— Och! ty szyderco nieznośny — odezwałem się, korzystając z przerwy niezmordowanego mówcy — czarnemi przepełniony myślami cóż dziwnego, że wszystko czarno widzisz w koło siebie? Ale spojrz na inne kraje tam na każdéj trawce, drzewku, w pokoju, na dworze, wszędzie widzisz znamie pracy ludzkiéj, bogatym plonem darzącym całą społeczność. Tam co żyje bawi się i używa, ale i pracuje z zapałem, trudem, znojem o jakich my nie mamy nawet wyobrażenia. Gdyby więc praca była im nieznośną czyżby ją tak zawzięcie rozwijali?

— Nie przeczę—odrzekł weredyk—ale u nas zupełnie stan inny. Nie zapominaj, że co kraj to obyczaj, a u nas właśnie lekceważenie pracy należy do obyczaju....

— Hola! -- hola! — przesadzasz mój drogi.

— Za pozwoleniem i jeżeli stanowczo przeczysz, to albo oczów nie masz, albo patrzysz a nie widzisz. Pomijając obszerne o przemyśle dowodzenia, zajrzyj tylko na nasze podwórza, do otoczeń domowych, do naszych mieszkań, schodów, kuchni, sieni i innych podobnych drobiazgów, a wszędzie cóż ujrzysz? Tu pył, tam śmieci, tu pajęczynę, tam warstwy kurzu, tu odrapane tam zawalane, tu płot dziurawy tam pochylony, tu ściana gnie się od budynku, tam robactwo drzewo objada, tu wybite okno a tam stołek bez nogi, tu powóz zapaćkany błotem, a tam liberja z wyrwanemi pachami, tu lustro opstrzone muchami, tam meble pełne kurzu i moli, a w pośród tego wszystkiego domownicy chodzą, przechodzą i siedząc z podpartemi na stole rękami, jeden narzeka na służbę, drugi na ciężkie czasy, trzeci stęka, czwarty rozrzewnia się, piąty roi i wzdycha, szósty marudzi, siódmy gniewa się i piorunuje, ale nikt nawet ręki nie podniesie, żeby tu podeprzeć, tam poprawić, tu otrzeć, tam zeskrobać, tylko Paweł ogląda się na Gawła, Gaweł na Serwacego, Serwacy na Boniface-

go, słowem każdy na kogoś i na coś takiego co się samo zrobi lub naprawi. Gdyby tak kochano pracę jak utrzymujesz, czyżby u nas pozór wsi i miast był tak biedny, odrapany, prawie trzęsący się nędzą i łachmanami? Gdzie indziej każda ręka nosi blizny szlachetnéj pracy, to też znać ją wszędzie, od wiórka i trocinki do kopuły okrywającéj najwynioślejsze gmachy: u nas opuszczenie przegląda z każdego najmniejszego kącika, grożąc próchnem i ruiną. Pracowite jednostki zdania mego nie mogą odmienić, takich nam Bogu dzięki nie brakuje, ale ogół, ale większość.....

— Jest w tem wiele prawdy, ale i przesady wiele — przerwałem — tym więc bardziéj należy pisać i mówić o pracy, bo jakimże innym sposobem obudzi się jéj zamiłowanie?

— O! najnaiwniejszy z dziennikarzy i pogadankarzy warszawskich, skrybencie i propagatorze! — zawołał z szyderskim śmiechem weredyk. I ty sądzisz biedaku, że skrobiąc piórem po papierze, męcząc zecerów, psując papier, odmienisz ogólny obyczaj?

— Rób jak ci się podoba—ale pamiętaj, że chcąc się ludziom podobać trzeba im na gwałt pochlebiać. Chwal ich i chwal bez końca, pal kadzidła coraz wonniejsze, bo inaczéj zostaniesz jedynym czytelnikiem swojego bazgralstwa, a łajania, poziewania gradem się na ciebie posypią.

— Przesadzasz, nieznośnie przesadzasz — odezwałem się do nudnego marudy—prawda nas smuci, ale z miłością wypowiedziana nigdy nie gniewa czemu możesz wierzyć, jako rzeczy doświadczonéj...

— Więc zapewne i naszą gawędę obecną, ustroisz w pawie piórka swojéj pogadanki?—zapytał przerywając weredyk.

— Bardzo być może — odrzekłem — wiesz bowiem że pogadanki moje tygodniowe, to jak kram mało miasteczkowy, w którym wszystko znajdziesz i wszystko z nim pasuje.

— Przewybornie, wytrąb więc ją przed swemi Czytelnikami kiedy taka twoja wola, ale wprzód przypomnij sobie bajkę Krasickiego *Dwaj malarze* wybornie całe moje dowodzenie popierającą:

Dwaj malarze portretów słynęli przed laty,
Jan dobry a ubogi, Piotr zły a bogaty.
Dlaczegóż los tak różny mieli ci malarze?
Jan malował podobne, Piotr piękniejsze twarze.

— Niech i tak będzie — odrzekłem — z drogi jednak raz obranéj nie zejdę, a choć niejeden mnie wyłaje, znajdą się i tacy co pochwalą i podziękują.

— Zgoda więc, pisz i brnij daléj przez ciernie i głogi — odrzekł uparty weredyk — a jeżeli mi przytoczysz choć jedno słowo podzięki, choć jeden list okażesz z pochwałą, uznam się zwyciężonym i uchylę kornie głowy przed rozumem społecznym, gorzką prawdę za słodki owoc przyjmującym.

— No — zobaczysz.

— A! obaczę — obaczę — odrzekł niewierny Tomasz.

O UBIORACH

KORESPONDENCJA Z PARYŻA.

Wspominaliśmy już o ładnych kapeluszach Panien Kuhnke, dziś dodamy jeszcze o kilku innych, odznaczających się równym gustem. Zwrócił szczególniéj uwagę naszą śliczny *fanszonik* z magazynu Laury, różowy atłasowy złożony z trzech bufek; na to zarzucona była maleńka chusteczka kwadratowa czarna aksamitna, położona w taki sposób, że jeden róg spuszczał się nad czoło, drugi pokrywał warkocz, dwa zaś przytwierdzone były po bokach. Chusteczka ta obszyta była w około frendzlą z czarnych piór strusich. Szarfy czarne aksamitne, podbite różo-

wym atłasem, spinały się pod brodą na różową rozetkę, u dołu kończyła je stosowna frendzla.

Drugi fanszonik czarny, składał się cały z piór, nad czołem szedł warkocz aksamitny, zakończony z boku małym bukiecikiem złotym, szarfy czarne aksamitne spinały się pod brodą na rozetkę aksamitną, ze złotem.

Trzeci fanszonik aksamitny marszczony w kolorze Bismark, miał z przodu wypuszczoną falbankę aksamitną, z grelotkami lawowemi. Od tyłu przechodziła plisa aksamitna, tworząca w przedłużeniu szarfy, zakończona również grelotkami. W miejscu gdzie się szarfy spinały, dana była rozetka z aksamitu. Rulon tegoż koloru, przetykany lawą służył jako podpięcie.

Z pomiędzy strojnych kapeluszy odznaczał się biały z niestrzyżonego aksamitu, z magazynu Pani Virot, otoczony w koło puszkiem marabutonem. Z boku zdobiła go rozetka z wązkiéj wstążki morowéj, od któréj spadały trzy długie pukle, najdłuższy z nich miał pół łokcia. W środku rozetki wpięty był złoty asterek. Podpięcie składało się z ruszy blondynowéj nad czołem, i ze złotego asterka na boku. Końce blondynowe spięte były na stosowną rozetkę ze złotym kwiatkiem.

Inny kapelusz także strojny, dla osoby starszéj aksamitny koloru dziko popielatego, główkę miał szeroką gładką. Z tyłu na główce przypięta była płasko kokarda przytwierdzona tabliczkami z lawy, z końców spadały grelotki. Na boku zdobił go epolet z liści aksamitnych szarych ze złotem. Podpięcie składało się z grubego rulonu aksamitnego, w tym samym kolorze przepinany lawą. Końce aksamitne podbite białym atłasem, zakończone grelotkami służyły do wiązania.

Przytoczymy nakoniec kapelusik dla młodéj panienki ca rny aksamitny gładki, ubrany z wierzchu dwoma różowemi atłasowemi kokardami, podpięcie stanowiła rusza z różowego atłasu. Szarfy czarne aksamitne, podbite różowym atłasem, łączyły się pod brodą, spięte na różową kokardkę.

Na zbliżającą się zimę, panny Kuhnke zakupiły też, mnóstwo ładnych ubiorków i czepeczków, tak do teatru jak i na wieczory. Między niemi zwrócił uwagę naszą śliczny ubiorek z aksamitki czarnéj, tworzący jakby gniazdko do przypięcia na środku głowy. W pośród pukielków, wpięty z boku złoty bukiecik z jabłuszkiem. Od tego spadają dwa długie końce, z aksamitki szerokiéj na cal, do tych zaś końców przytwierdzona rozetka z aksamitki, z bukiecikiem złotym która ma być przypięta do lewego boku; ztąd jeszcze spadają dwa końce.

Drugi ubiorek tworzył podwójny diadem z pąsowego aksamitu, naszyty czarną lawą. Z jednego boku spada kilka pukielków z aksamitki pąsowéj z drugiego boku długi koniec z podwójnéj aksamitki przepinany lawą, zakończony u dołu pukielkami.

Trzeci ubiorek, składa się z białéj blondyny nagarnirowanéj w ząb nad czołem. Z prawego boku wpięta rozetka czarna aksamitna, w środku bukiecik złoty długi, przechodzący do lewego boku nad blondyną. Dwa długie końce blondynowe naszyte złotem, depełniają przybrania.

Czwarty ubiorek złożony z niebieskiego aksamitnego rulonu, w koło głowy; z przodu płaska kokarda aksamitna, z tyłu dwa końce, z perłowemi kwastami. Na wierzch zarzucony fanszonik z białych pereł.

Piąty ubiorek z zielonéj wstążki, tworzy gniazdko opasane nad czołem wieńcem z bzu białego. Na tył głowy spadają dwie długie szarfy ze wstążki zielonéj, naszywane w odstępach, gałązkami bzu, zakończone u dołu kokardkami.

Śliczny także ubiorek fantastyczny z pąsowego aksamitu, pereł i złotych wisiorków. Cały ten stroik składał się z węzła i dwóch końców; na środku zdobi go egretka złota.

Mniej strojny ale nie mniéj ładny był ubiorek w guście włoskim, czarny koronkowy. Na diademie czarnym aksamitnym, przybranym grelotkami z lawy, zarzucony dosyć duży welonik, a raczéj tak zwana *mantylla*. Z boku nad czołem wpięta rozeta ze wstążki różowéj, druga takaż rozeta dana w miejscu gdzie mantylla spina się pod brodą.

S. z Ż. D.

Nowości zagraniczne.

Magasin des demoiselles. Do nowości tegorocznych należy szeroki paletot,tworzący zarazem drugą spódnicę, przepasany szarfą, ze spadającemi na tył końcami. Paletot taki pojawił się nie dawno na wystawie i został dosyć upowszechniony. Na zimę nosić będą zapewne takie kostiumy lekko watowane.

Chusteczki Marie Antoinette przewiązane z tyłu, coraz się częściéj pojawiają, tak do większego jak do codziennego ubrania. Strojne bywają z tego materjału jak suknia, ogarnirowane do koła falbaneczką. Kostiumy krótkie noszone są ogólnie na ulicy, starsze osoby noszą je także, lecz cokolwiek dłuższe prawie sięgające do ziemi.

Najmodniejszy garnirunek sukien, składa się z wąziuchnych falbanek, danych kilka razy jedna nad drugą, falbanki mają wypustki tego samego koloru jak suknia, ale w ciemniejszym odcieniu. Czasami wypustki są odmienne.

Petit courier des Dames. Z jesienią ukazało się mnóstwo sukien czarnych, oprócz jedwabnych noszą także bardzo czarne kaszmirowe.

Ładnie wygląda suknia z cienkiego kaszmiru, na spódniczce popelinowéj niebieskiéj (bleu mexique). Dół przybrany bywa frendzlą. Szarfa niebieska przewiązana z tyłu na kokardę, spada dosyć długo.

Szarfy kładą się dziś w nowy zupełnie sposób, w koło stanu idzie szarfa szeroka na ćwierć łokcia, wcale nie złożona; z tyłu marszczy się sama przez się przez związanie na kokardę. Tak ułożona szarfa skróca naturalnie stan, ale moda wymaga właśnie tego. Koki od kokardy powinny być zwrócone prosto w górę, sięgając do połowy pleców. Niekiedy bywa ich aż cztery.

Suknie czarne kaszmirowe noszą także na spódniczce zielonéj koloru szmaragdowego, a niekiedy i na pąsowéj. Szarfa powinna być odpowiednia do koloru spódniczki.

Odznaczał się także dobrym gustem kostium czarny kaszmirowy, na spódniczce z pekinu w paski pąsowe i czarne. Rękawy były podwójne, jedne szerokie czarne, drugie obcisłe pekinowe. Szarfa pekinowa dopełniała całości.

Inny kostium sukienny, koloru ciemno orzechowego (marron) miał spódniczkę koloru szmaragdowego.

Pierwsze elegantki, odznaczające się gustem wytwornym, noszą kostiumy w jednym tylko kolorze.

MODY MĘZKIE.

Wraz z zimną porą, nowe mody ukażą się wkrótce w salonach, nie ustępując gustem i elegancją tym, które przedtem na spacerach jaśniały. W pierwszych zakładach krawieckich w Paryżu przygotowano już świeże modele, które nie tylko pozorem odpowiadają najwykwintniejszym wymaganiom, ale zarazem zalecają się dogodnością połączoną z gustem.

Mody zimowe muszą posiadać warunki przeciwne modzie letniéj, zaleca je krój poważny: długość, obszerność powinny tu być w połączeniu z elegancją, aby zasłaniając od zimna, nie raziły przytem w salonie.

Jeden z pierwszych zakładów pod firmą Blanka (następca Cossarda) w Paryżu, wystawił ubiory godne podziwu młodzieży zawsze chciwéj nowości; możemy je tu przytoczyć bez obawy znalezienia współzawodnictwa, upewniając zarazem naszych czytelników, że mody, które tu opisujemy, będą uznane i przyjęte w świecie eleganckim na czas jesieni i zimy. Do miasta, surdut zapięty na dwa rzędy guzików, noszony będzie ogólnie, jako ubiór poważny; robią go z sukna mocno nabitego, kołnierz niski z tyłu, rozszerza się ku przodom; kształt taki jako bardzo zręczny i gustowny, utrzyma się całą zimę. Stan przechodzi po za biodra na dwa cent. długości, dosyć obcisły, w pasie skrajany prosto, spadając nadobnie odrysowywa wcięcie. Poły zatrzymują się na 10 cent. wyżéj kolan, są płaskie, a rzucające się fałdy opatrzone są klapkami, pokrywającemi podłużny otwór kieszeni; klapka każda u dołu przytwierdzona jest guzikiem, jak robiono dawniéj. Wykrój szyi wysoki, przody obszerne, szerokie wyłogi z ostrem zakończeniem, odwracają się tylko do drugiego guzika. Końce kołnierza powinny być cztery cent. węższe jak średnia szerokość wyłogi i zaokrąglone. Rękawy choć zawsze szerokie, znacznie jednak zwężono je w tym czasie; zdobią je jak dawniéj przestebnowaniem brzegu, lub płasko przyszytą plecionką. U wielu krawców dają kieszeń po lewéj stronie przodu, oraz małą kieszonkę po prawéj stronie umieszczoną około szwu łączącego poły ze stanem. Pokrywają także kołnierz aksamitem, a brzeg naokoło surduta przeszywają stebnówką lub obejmują płasko pletnią. Jak zwykle, surdut taki robi się z sukna marron, ciemno-oliwkowego, cynamonowego, czarnego, granatowego, a także w kolorze Bismark.

W zakładzie Blanka ukazał się także nowy rodzaj ubrania, które nosić można jako zwykły surdut, lub jako paletot, podług upodobania. Ubraniem tem jest *raglan* przekształcony cokolwiek w kroju i wykonaniu, co mu nadaje nie tylko pozór zupełnie nowy, ale zarazem poleca go jako ubranie pełne elegancji i wygody na zimę. Kołnierz, jak w poprzednim jest niski z tyłu, ma sześć cent. szerokości w końcach; krój pleców podobny do rodzaju surduta zwanego *Twine*, nie ma szwu przez środek, lecz opatrzony jest otworem trzymającym około 20 cent. w szwie każdego boku. Przody proste i obszerne, spinają się na dwa rzędy; wyłogi zaokrąglone, odwrócone są do drugiego guzika. Końce kołnierza również zaokrąglone, o cztery cent. węższe jak wyłogi. Szerokość rękawa i ozdoby jak w zwyczajnym surducie. Kolory przyjęte w tym rodzaju są: oliwkowy, w centki koloru rdzy, stalowy, Bismark i granatowy. Na ubranie codzienne żakieta będzie miała jeszcze powodzenie téj zimy i nic dziwnego, jestto ubranie zręczne które podoba się zawsze.

Kształt jéj nie wiele się zmienił, ma jak zawsze kołnierz niski z tyłu, spadający ku przodom, stan jeden cent. dłuższy za biodra; poły proste, nie zbyt długie, ścięte są mocno na przodach, zdobią je jak dawniéj patką pokrywającą kieszeń. Z guzików umieszczonych jednym rzędem na brzegu, górny się tylko spina. Rękawy proste i dosyć szerokie zdobią stebnówką, kołnierz daje się czasem czarny aksamitny.

Noszą także do ubrania podług fantazji, inny jeszcze rodzaj żakiety, która długością przypomina marynarkę; plecy o trzech szwach, poły zaś długie są tylko na głębokość kieszeni, przody na dwa rzędy guzików, zakładają się mocno na piersi; wyłogi szerokie ostro zakończone, wyłożone nie zbyt nisko. Taka żakieta służy najwięcéj do konnéj jazdy, robi się zwykle z aksamitu, w kolorach: brązowym, ciemno-zielonym, granatowym i czarnym. Pantalony nosić będą jeszcze téj zimy pół obcisłe; lampasy zdają się wracać do mody, przynajmniéj w pantalonach do średniego ubrania. Materjały *chinée* i w paski powszechnie są używane; z kolorów najwięcéj noszą jasno popielaty, jasno orzechowy, brązowy wpadający w żółty i zielono-oliwkowy. Kamizelki proste zapinają jeszcze aż do krawatu i robią zawsze z materjału żakiety. Do mniejszego ubrania robią także kamizelki szalowe, cokolwiek otwarte, na ceremonjalne zaś wystąpienia przyjęto bardzo otwarte, które spinają u dołu tylko na trzy guziki.

Opis ryciny.

Ubranie pierwsze. Kostium czarny. — Spódniczka zielona jedwabna, na wierzch długi paletot czarny w formie Gabrjeli, zapięty z boku. W koło idzie plisa czarna, z zieloną wypustką po obu stronach, środkiem rząd guzików zielonych jedwabnych. Z boku na spięciu naszyta pasmanterja zielona. Rękawy wązkie, u ręki mankiet przybrany plisami. Chusteczka zielona jedwabna (Marie Antoinette) związana z tyłu na kokardę. Fryzka batystowa karbowana, objęta koroneczką. Takież mankietki. Ubiorek na głowę z czarnéj koronki, otoczony wieńcem

liści bluszczowych. Barbka koronkowa spada na tył głowy.

Ubranie drugie. Suknia jedwabna koloru Bismark. Pierwsza spódnica gładka, druga krótsza roztwarta z przodu, połączona z sobą pletniami i guzikami z pasmanterji. U dołu plisa atłasowa czarna, brzegiem frendzelka karbowana w dwóch kolorach. Po bokach spódnica podniesiona w górę szarfami atłasowemi, w końcu szarf spadają trzy kwasty. Stanik gładki spięty na pletnie stosownie do spódnicy. Epolety w nowym rodzaju, przybrane plisą i guzikami. Mankiety podobnie przybrane. Fryzka z wązkiéj walansienki.

Symbolika kwiatów i roślin ozdobnych.

(Dalszy ciąg.)

14. Hyjacynt (Jacinthe, *Hyacynthus orientalis*). Piękny, pachnący, w różnych barwach kłos kwiatów z cebulki wyrastający, oto hyjacynt, ozdoba wiosenna naszych mieszkań lub ogrodów. Hyjacynty dziko rosną tylko na Wschodzie, u nas w doniczkach lub w gruncie, kiedy zostały pod jesień zasadzone. Holendrzy, owi najlepsi ogrodnicy europejscy, umieją hyjacynty tak sztucznie hodować, że im jeszcze dziś niektórzy szczególni lubownicy tych kwiatów, za jakąś nadzwyczaj piękną cebulkę hyjacyntową, i po parę set złotych płacić gotowi. My zazwyczaj holenderskie cebulki kupujemy najdrożéj po talarze, lecz i za 2 złote lub nawet jeszcze taniéj, są dosyć piękne, chociaż z Holandji nie pochodzą.

Hyjacynt, nazwa w starożytności pewnego bardzo miłego młodzieńca (*Hyakinthos*), którego Apollo serdecznie polubił, a i Zefir niezmiernie mu sprzyjał mimo tego zginął ów młodzieniec między swymi tak gorącymi miłośnikami dość tragicznie, bo przez Apolla a od Zefira.

Kiedy Apollo uczył swego ulubieńca rzucać krążkiem do celu, czem się starożytni Grecy często zabawiali, Zefir zazdroszcząc Hyjacynta Apollowi, dmuchnął, i krążek zamiast lecieć w przeciwną stronę, uderzył w głowę młodzieńca, i na miejscu go zabił. Apollo w rozpaczy, dla uwiecznienia pamięci Hyjacynta, zamienił swą boską mocą krew jego w kwiat, który do dziś ciągle roznosi najprzyjemniéjsze wonie po naszych salonach, i to wczas z wiosny bo często już w Lutym i Marcu, a nawet niekiedy zaraz po Nowym Roku, stosownie do umiejętności naszych ogrodników, lub też i nas samych.

W starożytnéj Sparcie odbywały się także uroczystości, Hyjacyntyjami zwane, którémi pod postawą zmarłego Hyjacynta, symbolizowano obumarcie pory kwitnienia kwiatów. Hyjacynt znów sam, jest symbolem kwiatu życia, lub raczéj rozwoju kwiatów, a Zefir wiatru zachodniego, który jak wiadomo lubi bardzo kwiaty, o ile te zwłaszcza wczas na wiosnę od niego (przez zimno) nie ucierpią. Apollo jest bożkiem światła, i bez jego światła i ciepła, pora kwitnienia kwiatów nadejść nie może, lecz z drugiéj znów strony to samo światło, za zbyt grzejące (słońce) kiedy nadejdzie skwarne lato (w południowéj Europie lub daléj ku równikowi), warzy i niszczy kwiaty, i staje się przez to ich mordercą. Oto tak tłómaczyć można, to mnóstwo mitologiczno-poetycznych powiastek o kwiatach starożytnego świata, których historja na pozór mniéj nawet niekiedy dorzeczna, kryje zawsze w sobie bardzo rozsądną myśl, tylko odzianą płaszczem religijno-poetycznych porywów młodzieńczego jeszcze narodu.

15. Jaśmin. (Jasmin, *Jasminium*). Pod tą nazwą rozumie się dwa rodzaje kwiatów: jedne nadzwyczaj przyjemnie pachnące (Jasmin blanc, *Jasminium officinale* i *Jasminium grandiflorum*); a drugie bardzo mocno, ale mniéj przyjemnie, (Seringat odorant, *Philadelphus coronarius*). Pierwsze pochodzą z krzewu witkowatego i mającego liście jak akacja pierzaste, to jest z drobnych listków złożone; drugie zaś są to owe powszechnie znajdujące się jasminy z liśćmi jak u bzu tureckiego, które dzikim lub jaśminem nieprawdziwym nazywają. Oba krzewy jaśminowe pochodzą z południowéj Europy, tylko jaśmin prawdziwy jest delikatniejszy, kwitnie w końcu lata, i nie tak jest pospolity, a nawet bardzo rzadki po naszych ogrodach, niż jaśmin tak zwany nieprawdziwy, który dziś i koło zagród pod słomianą strzechą (co jest rzeczą chwalebną), napotykać można.

Nazwa jaśminu jest czysto arabska, a że Europa południowa ze Wschodu tę roślinę sobie przyswoiła, z tamtąd też pochodzi i jéj nazwa.

Z przyczyny nader przyjemnego zapachu, jaśmin jest godłem zespolenia się, wzajemności dwóch dusz, jak jest przyjemną rzeczą posiadać ciągle jego zapach.

(d. c. n.)

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

(Dodatek.)

PAN DE CAMORS

POWIEŚĆ,

PRZEZ

OKTAWIUSZA FEUILLET

PRZEKŁAD

Joanny Belcjowskiéj.

(Dalszy ciąg)

W takim razie, uciekam póki czas.... Rzuciła mu nakazujące wejrzenie; zrozumiał i pozostał.

— Więc zawzięłaś się na mnie, kuzynko, rzekł śmiejąc się.

— Nie inaczéj. Mamże powtarzać kazania które prawiłam ci całą zimę, kuzynie.... a wieszże iż jenerał nawet zaniepokoił się nie pomału tą naszą tajemnicą...

— O! to najmniejsza.

— Ma się rozumieć, uspokoimy go łatwo.... ale wracajmy do rzeczy. Tak więc, nie chcesz miss Campbell, bo za jasna blondynka... choć nie wielki to komplement dla mnie.... panna de Silas.... za szczupła.... panna Rollet, w prawdzie ma miljony.... ale zbyt demokratyczna rodzina.... panna d'Esgrigny.... za nadto przypomina panie Bacquiere i Van-Cnyp!... Przyznasz, kuzynie, że trzeba żelaznéj wytrwałości, żeby się nie zrazić tylokrotnemi odmowami. Ale czegoż nie dokaże prawdziwa przyjaźń.... otóż wynalazłam cud prawdziwy....

— A cud ten nazywa się?..,

— Marja de Tècle.

Nastało milczenie.

— Aha! kuzynie.... nie odpowiadasz.... bo nic do powiedzenia nie ma.... bo Marja de Tècle wszelkie, najwymyślniejsze zaspokaja wymagania, posiada wszelkie przymioty, piękne nazwisko, staranne wychowanie, wielki majątek, wysokie stosunki.... jednem słowem wszystko co tylko zamarzyć można. Daléj majętności wasze z sobą graniczą, widzisz więc kuzynie, że nie zapomniałam o niczem.... i doprawdy, nie pojmuję że nam to prędzéj na myśl nie przyszło.

P. de Camors nic nie odpowiadał, a to milczenie jego zaczęło dziwić i niepokoić margrabinę.

— O! daremnie suszysz sobie głowę kuzynie, nie znajdziesz żadnego zarzutu. Tą razą przegrałeś najzupełniéj.... poddaj się i podziękuj!

I wymawiając te słowa żartobliwym i pieszczotliwym głosem, rzuciła mu nieubłagane spojrzenie, nakazujące uległość.

— Zostawisz mi przecież czas do namysłu, kuzynko.

— Czemu?

— Smiertelna bladość pokryła twarz Camors'a: Ależ, rzekł nareszcie, czy nie za samowolnie rozrządzasz ręką panny de Tècle, kuzynko? Wiem że jest bardzo bogata.... że liczni współzawodnicy ubiegają się o jéj rękę. Zresztą jéj dziadek ma swoje uprzedzenia prowincjonalne, a matka znów jest tak nabożna, iż może....

— Biorę na siebie wszystkie te trudności.

— Ależ kuzynko, doprawdy masz jakąś manję żenienia ludzi...

— Nie dziw się kuzynie, zazwyczaj kobiety które nigdy dla siebie nie myślały o miłości, lubią swatać i żenić innych.

— W każdym razie, proszę o kilka dni do namysłu.

— Ciekawam nad czem tu namyślać się kuzynie? Zawsze mówiłeś że zamierzasz się żenić, że czekasz tylko przyjaznéj sposobności. Możeż być korzystniejsza? Jeśli więc ją pominiesz, może całe życie tego żałować będziesz.

— Muszę przynajmniéj uprzedzić i poradzić się krewnych.

— Cóż za nowa wymówka? Zdaje mi się kuzynie, że już dawno jesteś pełnoletni, z resztą jakichże krewnych radzić się będziesz? Czy czasem nie ciotki de la Roche-Jugan?....

— No zawsze nie wypada mi ubliżać jéj....

— A mój Boże!.. pod tym względem możesz być zupełnie spokojny kuzynie; mogę cię zapewnić, że bez względu z kimbyś się żenił, sama pewność o twojem małżeństwie, niewymowną radością napełni jéj serce.

— Skądże tak wnosisz, kuzynko?

— Mam swoje powody. I powiedziawszy te słowa, zaczęła się śmiać jakimś niepohamowanym, konwulsyjnym śmiechem. Długie natężenie nerwów, domagało się tego wybuchu.

Najczarniejsze punkta téj strasznéj zagadki, rozjaśniały się powoli w umyśle Camors'a, ale uczuł zarazem jakieś tak straszne, niepodobne prawie do wytrzymania znużenie, iż pragnąc przerwać tę tragiczną komedję, rzekł wstając: Muszę pożegnać cię, kuzynko, bo jestem dziś proszony na obiad, ale jeśli pozwolisz, jutro po posiedzeniu służyć ci nie omieszkam.

— Będę cię czekać kuzynie. Więc pozwalasz mi objawić jenerałowi twoje postanowienie.

— Niech i tak będzie.... bo prawdę mówiąc kuzynko, daremnie suszę sobie głowę, a nie mogę wynaleźć żadnego przeciw twemu wyborowi zarzutu.

— Otóż tak, to lubię! zawołała margrabina, podając mu rękę, którą pocałował i wyszedł.

Trzeba było być stokroć bystrzejszym i przenikliwszym niż jenerał de Camprallon, aby uchwycić pewne wachanie i rozdźwięk w bezczelnéj komedji, jaką odgrywali przed nim dwaj niezrównani mistrze. Jedna tylko niema gra oczu mogłaby ich zdradzić, a téj widzieć nie mógł; co zaś do rozmowy ta od początku do końca była tak spokojną, swobodną, naturalną, iż każde niemal słówko uspokajało niepokój, bezzwrotnie rozpraszało podejrzenie. Od téj chwili, nigdy już najlżejsza chmurka nie zasępiła pogody myśli zacnego starca, bo szlachetny ten człowiek pełen prawości i prostoty, był za nadto poczciwym,

za nadto czystym, aby mógł pojąć ohydne zamaskowanie się, w jakich margrabina szukała rozpacznego ratunku, aby przypuścić że może istnieć w umyśle i sercu ludzkim, podobna otchłań przewrotności i sromoty.

Niepodobna prawie opisać pomieszania i upokorzenia jenerała, gdy opuszczając ukrycie, stanął przed żoną po odejściu Camors'a. Pokornie ucałował jéj ręce, a w smętnym uśmiechu z jakiem spojrzał na nią, odbiła się cała dobroć i tkliwość jego duszy. Co do margrabiny, skutkiem nowéj reakcji swego systemu nerwowego, zaczęła teraz głośnem płakać łkaniem, co jenerała doprowadzało do rozpaczy. Ponieważ to co obecnie zaszło między margrabiną a jéj mężem, nie jest konieczne do ciągu powieści, nie będziem więc opisywać zbyt rażącéj sceny fałszu i obłudy.

Z tych samych powodów nie przytaczamy rozmowy, jaka miała miejsce nazajutrz między panią de Campralion i panem de Camors. Czytelnicy dostrzegli zapewnie, że usłyszawszy nazwisko panny de Tècle wmięszane do téj czarnéj intrygi, p. de Camors doznał uczucia niewysłowionego wstrętu i niemal przerażenia, które o mało nie zniweczyło piekielnego planu margrabiny. Jak następnie potrafił stłumić te śmiertelne drgania konającego sumienia, do tego stopnia że zgodził się na środek, zapewniający niecnéj ich namiętności spokój i bezkarność; przez jak piekielne sofizmata zdołał wmówić w siebie: że odtąd nie ma obowiązków dla nikogo prócz dla swéj wspólniczki, i że dla niéj winien wszystko i wszystkich poświęcić, nie będziem tego ani opisywać a tym bardziéj tłómaczyć. Powiemy tylko że zgodził się na wszystko, bo kto raz zejdzie na drogę poniżenia, ten już brnie po niéj coraz daléj i chyba tylko piorun tuż przy nogach padający, zdołałby go zatrzymać w pochodzie.

Co do margrabiny, ten tylko kto nie pojął dostatecznie całego ogromu skażenia téj wyniosłéj duszy, mógłby się dziwić, że po zimnym namyśle obstawała przy zamiarze, jaki powzięła w strasznéj niebezpieczeństwa chwili. Kobieta która żadnéj nie ma wiary i sumienia, żadnéj nie ulęknie się niecnoty. Pojmowała łatwo, że jeśli wymyślone małżeństwo nie przyjdzie do skutku, uśpione podejrzenia jenerała mogą zbudzić się lada dzień z podwojoną siłą. Kochała namiętnie Camors'a i równie silnie umiłowała tajemniczą dramatyczność, która ich otaczała. Wreszcie sama myśl postradania ogromnego majątku, który od dawna przywykła uważać za swą własność, przejmowała ją szaloną trwogą, bo obecnie w jéj charakterze nie było już ani śladu owéj bezinteresowności, jaką mogła się pochlubić w pierwszych latach swej młodości, a przypuszczenie możliwości nędznego poniżenia w oczach paryzkiego świata, w którym królowała swym zbytkiem i pięknością, prawdziwą stawało się męczarnią. A więc za jaką bądź cenę postanowiła zachować wszystko, miłość, tajemnicę, majątek, a im więcéj się zastanawiała, tym silniéj utwierdzała się w przekonaniu, iż małżeństwo Camors'a, najpewniejszą bezpieczeństwa daje rękojmię. W prawdzie sama sobie dawała rywalkę, ale zanadto ufała swéj władzy, aby się jéj ulęknąć, a znając pannę de Tècle, wiedziała dobrze o ile niższą jest od niéj pod każdym względem.

W parę tygodni późniéj, jenerał pojechał pewnego poranku do pani de Tècle, prosić o rękę panny Marji dla najlepszego przyjaciela. Nie potrzebujemy mówić z jaką radością pani de Tècle przyjęła oświadczenie, tylko w gruncie duszy dziwiło ją trochę, dla czego Camors używał pośrednictwa jenerała. Zbrakło mu odwagi oświadczać się samemu; jednocześnie jednak przybył do Reuilly, i jak tylko jenerał zawiadomił go, że oświadczenie zostało przyjęte, pojechał natychmiast do pani de Tècle, z podziękowaniem. Zdecydowawszy się raz na ten niecny postępek, postanowił przynajmniéj otoczyć go formami najwykwintniejszéj grzeczności, a wiadomo jakim był mistrzem w fałszu i udawaniu.

Wieczorem dnia tego, gdy matka i córka pozostały same, wyszły na ulubiony swój taras, i przechadzając się przy bladem świetle gwiazd błyszczących na pogodnem niebios sklepieniu, córka błogosławiła ukochaną matkę, matka dziękowała Bogu, jednocząc wspólnie, serc swoich marzenia. Biedne kobiety! szczęście ich było za wielkie na ten padół płaczu. Ślub odbył się w ciągu następnego miesiąca.

CZĘŚĆ CZWARTA.

VIII.

Po kilkotygodniowym pobycie w Reuilly, hrabia i hrabina de Camors odjechali do Paryża i zamieszkali w swoim pałacyku przy ulicy Cesarzowéj. Zaraz nazajutrz młoda kobieta napisała do matki, i tak codziennie opisywała jéj wszelkie swoje uczucia i wrażenia. Chcąc dać poznać jéj charakter i usposobienie, przytoczymy tu kilka jéj listów.

Pani de Camors do p. de Tècle.

Październik.

Czy jestem szczęśliwa? pytasz mnie matko ukochana. Szczęśliwa!... o to za mało, to za słabe, za pospolite wyrażenie. O! ja jak ptaszek unoszę się w niebiosach! ja czuję słońce w głowie, w oczach, w sercu, Jestem olśniona, upojona szczęściem tak niewysłowionem, że co chwila łzy niebiańskiéj rozkoszy zraszają moje lica. Byćże to może? matko moja!..- jestem jego żoną! żoną tego kto był panem myśli moich, od chwili gdy pierwsza myśl zbudziła się w méj duszy, żoną tego któregobym wybrała z pomiędzy wszystkich na świecie? Jestem jego żoną, losy, serca i dusze nasze złączone z sobą na wieki. O teraz dopiero cenię i czuję wartość życia, teraz więcéj niż kiedykolwiek kocham ciebie, wielbię i korne dzięki składam Bogu!

Codziennie rano wyjeżdżam z mężem konno na ranną przejażdżkę do poblizkiego lasku, nie wiem czem się to dzieje, ale czas zawsze wydaje mi się prześliczny, choćby deszcz padał, jak to i dziś miało miejsce, w skutku czego musieliśmy prędzéj wra-

cać. Mąż mój — jak miło pisać to słowo, mąż mój powtarzam, nadzwyczaj dla mnie dobry i uprzejmy, dziś podczas zwykłéj przejażdżki naszéj, pozwoliłam sobie prosić go o objaśnienie niektórych dotąd mi nieznanych własnych dziejów naszych. Najpierw więc zapytałam: „Czemu ożenił się ze mną?“ Roześmiał się i odpowiedział. Boś mi się podobała Miss Mary. (Lubi mnie tak nazywać, bo jak mówi, przypomina mu to pewną scenę z moich lat dziecinnych. Jeślim ci się podobała, dla czegóż nigdy i niczem nie okazałeś mi tego? Tak powinienem był postępować aż do chwili w któréj postanowiłem prosić o twoją rękę. To jednak dziwna, że mogłam podobać ci się, ja, co bynajmniéj nie jestem piękną. Nie jesteś wprawdzie piękną, odpowie okrutnik ten, ale jesteś bardzo ładna, a co więcéj pełna niewysłowionego wdzięku i powabu, jaki odziedziczyłaś po matce.

Gdy w ten sposób wszystkie zawiłe punkta, z zadowolnieniem Miss Mary roztrzygnięte zostały, popędziłam konia, nie koniecznie z powodu zwiększającego się deszczu, ale iż czułam, że sama nie wiem czemu, zaczerwieniłam się jak piwonja.

O matko moja! cóż to za rozkosz być kochaną, kochaną od tego kogo się ukochało całą siłą swéj duszy, i być kochaną tak właśnie jak tego pragniemy, zgodnie z marzeniem młodego czułego serca. Ty może ani domyślałaś się matko droga, jak wcześnie w młodéj wyobraźni mojéj, kiełkowały myśli do tego odnoszące się przedmiotu, i tak, zdawało mi się zawsze że musi być kilka rodzajów kochania, jedne pospolite, drugie wymuszone, inne płoche, inne znów konieczne, i byłam pewna że „zaczarowany książe“ nie mógłby kochać podobnie. Tak, byłam pewna że miłość jego musi być inna, wznioślejsza, dostojniejsza, iż jeśli pokocha to zarazem z wdzękiem i godnością, czule i tkliwie ale zarazem z jakąś niemal surową powagą, dobrocią, pobłażliwością, jak kochanek ale i pan zarazem, jak pan ale pan zakochany— słowem tak właśnie jak mnie mąż mój kocha.

Matko moja! aniele mój opiekuńczy, ciesz się i bądź szczęśliwa tem szczęściem mojem, które twojem jest dziełem. Całuję ręce, całuję skrzydła twoje, aniele mój drogi, dziękuję ci, błogosławię, kocham i uwielbiam. O przybywaj! przybywaj co prędzéj, urządziłam ci pokoik błękitny jak niebo mojego szczęścia; a teraz bywaj zdrowa.

Twoja najszczęśliwsza pod słońcem,
Miss Mary, hr. de Camors.

Listopad.

Matko, matko moja! jakże mnie list twój zasmucił; ja co w upojeniu szczęścia zapomniałam o płaczu, dziś tak rzewnie zapłakałam sobie. Tak co dnia wyglądałam twego przybycia, i list twój niweczy nadzieje moje. Nie domagam się, nie proszę, bo wiem aż nadto dobrze, iż jeśli uważasz że słabnące zdrowie dziadka mego, wymaga nieustannie twéj troskliwéj opieki, żadne błagania nie zdołają oderwać cię od tego obowiązku, ale matko ukochana, nie zapominaj że twoja Marja ze ściśnionem sercem spogląda tu na przygotowany ci niebieski pokoik, przybywaj więc jak będziesz mogła najprędzéj.

Gdyby nie to zmartwienie, żadna jeszcze chmurka nie zasępiła mojego nieba, jestem tak szczęśliwa, iż nawet serce twoje nie może pragnąć więcéj. Mój „zaczarowany książe“ jest zawsze czarująco-uroczym, zawsze księciem. Jakże dobry, jak względny dla biednéj wieśniaczki! oprowadza mnie wszędzie, pokazuje pomniki, muzea, galerje, teatra; bawi go mój podziw i zachwycenie, którym nie raz oprzeć się nie mogę. Nie mów nic wujowi, matko moja, ale jakżeż ten Paryż wielki, przepyszny; wspaniały! I dla myśli i dla życia dnie tu podwójnie się liczą.

Wczoraj pojechaliśmy z mężem do Wersalu. W oczach wielkiego świata, podobna wycieczka zakrawa na śmieszność, bo zauważałam że hrabia przed nikim nie wspomniał o téj podróży. Wersal odpowiedział w zupełności wyobrażeniom, jakie utworzyłam sobie o nim z opowiadań twoich; nic się nie zmienił od owéj chwili gdyś go zwiedziła z kochanym dziadkiem, jest wspaniały, uroczysty, ale zimny.

Najwięcéj mnie zajęło ciekawe nowo urządzone muzeum portretów historycznych. Z jakiemże to zajęciem patrzyłam na te wszystkie postacie, począwszy od Karola śmiałego aż do Waschington'a, których obrazy tak często wyobraźnia stawiała mi przed oczy. Chodząc po tych salach zdało mi się chwilami, że jestem na polach elizejskich i rozmawiam z tymi zmarłemi wielkościami. Ale rzecz dla mnie najważniejsza, p. de Camors, zdawał się mocno zdziwiony moją nauką i rozumem, miałam bowiem sposobność objaśnić go w kilku rzeczach.

Po obejrzeniu pałacu, na usilne prośby moje, obiadowaliśmy w restauracji. Ach! matko moja, póki życia, nie zapomnę téj przyjemności! cóż to za rozkoszny wybryk, tak wej dwoje pod rękę z mężem, iść sobie na obiad do restauracji!

Wspomniałam wyżéj że zdawał się być zdziwiony moją nauką, teraz dodam że często wydaje mi się zdziwiony słuchając co mówię. Czyż myślał że jestem niemowa? A przecież mówię przy nim tak mało, bo przyznam się nieraz okropnie się boję, abym mu się nie wydała ograniczoną, wymuszoną lub pedantką. Jeśli kiedy nadejdzie ta błoga chwila, że będę z nim zupełnie swobodna i będę mogła objawić cały zapas zdrowego rozsądku i nauki, jaki zawdzięczam tobie, matko droga, wtedy wielki ciężar spadnie mi z piersi, bo doprawdy przykro powiedzieć, ale czasami zdaje się że mnie uważa za dziecko. Kiedyś, przechodząc z nim na bulwarach, zatrzymałam się chwilę przed piękną bardzo wystawą zabawek. Cóż za ogromne zapomnienie! Gdy mąż mój zobaczył że przypatrywałam się wielkiéj, pysznie wystrojonéj lalce: Może ci ją kupić, Miss Mary? zapytał. Okrutnik, nic dobrego, — wszak prawda, mamo?

Dla niego nic nie jest obcem, wszystko wie, zna się na wszystkiem, wszystko mi tłómaczy i objaśnia, ale najczęściéj zbyt urywkowo, jak to mówią aby zbyć, jak się zazwyczaj odpowiada osobie, co nas zrozumieć niemoże. A jednak ty wiesz, matko droga, jak ja łatwo i prędko pojmuję i obejmuję wszystko.

Ale tem lepiéj dla mnie, bo jeśli kocha swoją Mis Mary *ograniczoną*, jakże to kochać będzie kiedyś, gdy pozna jaką jestem rzeczywiście!

Grudzień.

Piękny świat wraca do Paryża, tak więc od kilku tygodni ciągle zajęta jestem wizytami. Zazwyczaj, w wielkim świecie kobiety oddają je same, ale że są to pierwsze wizyty, mąż towarzyszy mi wszędzie, dla przedstawienia mnie w domach w których bywać zamierzamy. Sądzę że wszystko to nie koniecznie go bawi, bo jest poważniejszy jak zwykle, a uprzejmy nad wszelki wyraz, nigdy innym sposobem nieokazuje swego niezadowolnienia lub złego humoru.

Wszędzie przypatrują mi się z wyraźnem zajęciem, tak widocznie kobieta którą pan mój raczył zaszczycić swym wyborem, staje się przedmiotem ogólnéj ciekawości. Pochlebia mi to, ale i onieśmiela zarazem, z tego powodu rumienię się co chwila, jestem trochę sztywna i nienaturalna, wszyscy tedy muszą znajdować mnie nie ładną i nie powabną, robią wielkie oczy i są przekonani, że ożenił się ze mną dla majątku. Ja przeczuwając to wszystko mam ochotę płakać, w tem żegnamy się, wsiadamy do powozu, on mi się uśmiechnie i znów jestem w niebie.

Teraz muszę powiedzieć ci, mamo ukochana, że pani de Camprallon jest dla mnie nad wszelki wyraz dobrą i uprzejmą. Ponieważ moja loża w Operze dopiero na nowy rok będzie wolną, zatem często bardzo zabiera mnie do swojéj. Wczoraj wydała dla mnie świetny wieczór we wspaniałych salonach swoich, jenerał ze mną bal rozpoczął, zacny, nieoceniony człowiek! lubię go bardzo, bo ciebie mamo, czci i uwielbia. Margrabina przedstawiła mi najlepszych tancerzy. Jakaż tu dziwna moda, wszyscy ci panowie tak byli, przesadnie postrojeni, że prawie patrzeć na nich nie śmiałam, nigdy jeszcze w życiu nie widziałam nic podobnego, i doprawdy jakoś to wcale nie ładnie. Widać że wszyscy ci panowie mają się za bardzo pięknych, nadają swéj twarzy jakiś wyraz troski i wielkiego zajęcia, rzucają w około pogardliwe i zwycięzkie wejrzenia, usta mają zazwyczaj nieco otwarte, jak gdyby dla swobodniejszego oddechu: Daléj mamo, przysuwają się, uprzedzają wzrokiem że zrobią ci zaszczyt tańczenia z tobą, i porywają i tańczą, następnie gdy się zmęczą, nowem wejrzeniem objawiają, że raczą mieć przyjemność przestać, i zatrzymawszy się chwilę, oddychają całą piersią, pokazują zęby, uśmiechają się i znowu spoglądają, uśmiechają się i tańczą. Nudnaż to rzecz ci modni tancerze!..

Mąż mój tańczył ze mną walca i zdawał się być zadowolnionym, pierwszy to raz wtedy widziałam go tańczącego z margrabiną, i oczu od nich oderwać nie mogłam, zdaje ci się że widzisz wirujące dwie najświetniejsze gwiazdy.

Następnie byłam jeszcze na kilku balach, i wszędzie uważałam, jakiem ubóstwieniem wszystkie niemal kobiety otaczają mego męża. Mamo, to straszna rzecz doprawdy! I znowu raz jeszcze zapytałam siebie: Dla czego on mnie wybrał? czyż mogła mu się podobać? i nareszcie czyż potrafię walczyć i współubiegać się z najpiękniejszemi? Z tych i tym podobnych medytacji zrodziło się następujące szaleństwo, które miało niby uspokoić mnie nieco, i które ci posełam, droga moja matko.

Portret hrabiny de Camors odmalowany przez nią samą.

Hrabina de Camors, z domu Marja de Tècle, ma lat dziewiętnaście skończonych, i na ten wiek dużo bardzo rozwagi i zastanowienia. Nie jest bynajmniéj piękną, co mąż jéj przyznał od razu, powiedział że ładna, ona zaś o tem powątpiewa. Rozpatrzmy się. Najpierw ma duże nogi, no ale ta sama wada jest udziałem Dianny, bogini łowów, a potem, może z małą nóżką niemogłaby mieć tego lekkiego i pełnego wdzięku w ruchach i chodzie. Figura ujdzie od biedy, tusza zwyczajna, rysy twarzy nieregularne, usta nieco za szerokie, wargi może za grube, a nad niemi, niestety! jakby ślad wąsików; zęby bielutkie i równe, ale nie bardzo drobne, nos średni, trochę zadarty, oczy duże czarne, podobne do oczu matki, największą jéj stanowiące ozdobę, brwi dość szerokie, jak u jéj wuja Des Rameures, co nadaje jéj twarzy wyraz jakiejś surowéj powagi, złagodzonéj szczęściem całością fizjognomji, odbijającéj łagodność i dobroć jéj duszy. Cera nieco śniada, włosy prześliczne, grube, długie, jedwabniste, czarne wpadające w szafir. Całość — nie wiem co powiedzieć.

Portret ten chybił celu w jakim go rozpoczęłam, nie uspokoił mnie bynajmniéj, bo zdaje mi się że wszystko razem zebrane tworzy wcale brzydką całość, a ja dziś chciałabym być najpiękniejszą, zachwycającą, czarującą kobietą. Nie dbam jednak o wszystko jeśli mu się podobam taką jak jestem. Czasami pocieszam się, że ponieważ mężczyzni inne mają gusta, może zatem i ja w oczach męża wydaję się ładniejszą niż w swoich. Nie mogę pojąć czemu Ludwik nie unosi się n. p. nad panią de Camprallon? Czemu tak zimno i obojętnie spogląda na nią? O! gdybym ja była mężczyzną, doprawdy szalałabym za nią.

Dobranoc, najlepsza, najukochańsza matko!

(d. c. n.)



TYGODNIK MÓD

w Warszawie